

Życie po kapłaństwie

Świadectwo nawróconego księdza

Dominica Stockforda



Choć jest to niezwykle trudne - uważam, że jest koniecznym przyrzeć się tym wszystkim latom, jakie spędziłem w kościele katolickim i jego kapłaństwie. Zachęte do tego czerpię przypominając sobie słowa apostoła Pawła: „Ale w tem wszystkim przewyciężamy przez tego, który nas umiłował” (Rzymian 8,37).

Moi rodzice nawrócili się na katolicyzm tuż przed ślubem. Stąd urodziłem się katolikiem „w kołysce,” w rodzinie, która sumiennie wypełniała wszystkie wymagania nałożone na wiernych przez papieża. Nie zdarzało się słyszeć żadnych pytań odnośnie słuszności jego nakazów nawet wtedy, kiedy ich wypełnianie sprawiało niemało trudności i kłopotów osobistych członkom rodziny. Wychowanie nasze jako katolików mocno podkreślało wagę naszego Kościoła, do tego stopnia, że nie miałem nawet pojęcia, że mogło istnieć „coś innego” poza nim. Jedno z wcześniejszych wspomnień to niedzielna wyprawa do kościoła w towarzystwie przyjaciółki mojej mamy z lat szkolnych. Uczęszczała ona do lokalnego kościoła anglikańskiego, stąd w drodze powrotnej nie mogłem się powstrzymać od zapytania rodziców: „Dlaczego my tam nie chodzimy? Przecież to to samo.” Nic dziwnego, że nie otrzymałem odpowiedzi; jak bowiem można wytłumaczyć różnicę ośmio- latkowi? Najlepsze lata młodości i sporą część wieku męskiego spędziłem w kościele katolickim i kapłaństwie, lecz teraz „Lecz chwała Bogu, który nam zawsze zwycięstwo daje w Chrystusie i wonność znajomości swojej objawia przez nas na każdym miejscu” (II Koryntian 2,14).

Jako dziecko moje doświadczenie wiary sprowadzało się do wykonywania właściwych rzeczy - uczęszczania na mszę co niedziela i dawania nieco z

kieszonkowego na tacę. Pewnego razu wzbogacone zostało ono wizytą księdza w naszym domu. Zachorował ojciec i wtedy po raz pierwszy od sześciu lat spędzonych w tamtej parafii zawitał u nas w domu ksiądz. Drugi raz miało to miejsce po piętnastu latach w innej parafii. Myślę, że mówi to coś tym, którzy utrzymują, że księża katoliccy sumiennie i regularnie doglądają swoją trzodę. Praktycznie wszystkie moje lata szkoły podstawowej spędziłem w szkole katolickiej, a od trzynastego roku życia do matury uczyłem się w Downside School - prywatnej szkole z internatem prowadzonej przez benedyktyńskich zakonników położonej w okolicach Somerset. W obu szkołach wiara sprowadzała się do wykonywania właściwych rzeczy. Ci, których zwano „dobrymi katolikami,” uczęszczali na niedzielne msze i piątkowe adoracje Najświętszego Sakramentu. Ci najlepsi natomiast mieli okazję usługiwać przy ołtarzu lub w chórze. Oczywiście byli też tacy, którzy woleli w tym czasie wyprawy w okoliczne wzgórza nie zważając na to, czy pada deszcz czy nie. Dawał się tam odczuć ogromny nacisk, jaki kładziono na wypełnianie wszystkich tych powinności. Zdarzało się, że wysyłano nauczycieli na patrole w poszukiwaniu uchylających się od obowiązków, a i sami uczniowie donosili na swoich „odstających” od szyku kolegów, traktując ich przy tym jak błoto.

W tym wszystkim były jednak i wesołe chwile. Na przykład, kiedy wraz z innym, dobrze wszystkim znanym nagminnie „uchylającym się” kolegą byliśmy jedynymi ze starszych z całej szkoły obecnymi na mszy i ku zdumieniu i niedowierzaniu reszty szkoły nam to właśnie przyszło wyprowadzić wszystkich po mszy z kościoła!

Jedno co można powiedzieć dobrego o uczęszczaniu do Downside School to to, że przekazano nam odczucie, że wiarajest czymś osobistym. W ramach przygotowywania do egzaminu powszechnego musieliśmy zapoznać się z Ewangelią wg Marka. Z tego, co pamiętam, nie odbywało się to w typowym katolickim rygorze hermeneutycznym, ale raczej w sposób, który zachęcał nas do zapoznania się z tym, o czym ona wprost mówi. Do czasu, gdy opuściłem Kościół katolicki nigdy więcej nie zetknąłem się z podobną zachętą do spojrzenia na Pismo święte w tak bezpośredni sposób! Kiedy uczono nas doktryn kościoła w całej ich niebiblijnej okazałości, ja jeden - być może z całej grupy - pozostawałem

ze wspaniałym przekonaniem, że mogę mówić do Boga, i że Pismo święte zawiera prawdę. Mimo tego, zawsze pozostawałem zawziętym katolikiem.

Zdaję sobie sprawę, że dla wielu ludzi wydaje się to dziwne, szczególnie dla tych spoza kręgów kościoła katolickiego. Dzieje się tak z tej prostej przyczyny, że bycie katolikiem - podobnie jak bycie Żydem - nie jest sprawą tyle wiary, co raczej sposobem życia. Jako młody człowiek wychowany po katolicku, byłem zanurzony w katolicyzmie „po uszy” i nie zdawałem sobie sprawy, że można myśleć inaczej. Mimo że na lekcjach historii w szkole przerabialiśmy „reformację” i „kонтрreformację” nie przyszło mi do głowy, że w moim kraju - Wielkiej Brytanii - są ludzie myślący odmiennie od nas, katolików. Zostałem wychowany - świadomie czy nie - pod wrażeniem, że jedyne różnice denominacyjne dotyczą stylu i prezentacji.

Powołany do służby

Nigdy nie przyszło mi do głowy, że będę służył Bogu jako wyświęcony kapłan, ani to, że zbliżę się do Boga poprzez proste nawrócenie i wiarę. Moje pojęcie bycia wiernym było bardzo katolickie i oznaczało dokładnie to, czego uczył Kościół, a więc wykonywania uczynków: uczęszczania w niedzielę na mszę i „bycie dobrym”. Kiedy więc w wieku szesnastu lat usłyszałem - jak mi się wydawało - Boże wezwanie do służby, znając jedynie Kościół katolicki, naturalnym wydało mi się, że mam służyć Bogu w tym właśnie kościele. Pamięć o tym dniu mocno zapadła w mojej świadomości, bowiem następnego dnia, zmarł papież Paweł IV

Moją reakcją na to wezwanie było staranie się wykonywania właściwych rzeczy. Udałem się na szereg „konferencji selekcyjnych” organizowanych przez diecezję w Plymouth, na których była okazja do rozmów z wieloma księżmi oraz gdzie określano indywidualną przydatność do posługi kapłańskiej. Zacząłem czytać odpowiednie książki, zaprzyjaźniłem się z miejscowym proboszczem, regularnie uczestniczyłem w „sakramencie”, którego nigdy nie rozumiałem, a który zawsze napawał mnie lękiem - dousznej spowiedzi. Poza zwykłymi mszami uczęszczałem na piątkowe adoracje, stacje drogi krzyżowej i modlitwy „na różańcu”. Żadne z nich nie przyniosły mi jakiegokolwiek oświecenia, a jedynie obciążyły mi serce. Podobnie jak ja, wiele wieków wcześniej, Marcin Luter doświadczył, jak gorliwość wypełniania tych wszystkich obowiązków po to, by zbliżyć się do

Boga, jedynie potęguję nieznośne brzemie separacji, tak i ja później przekonałem się, że są one męczące i zbyteczne. Jedynie Droga Krzyżowa miała dla mnie jakieś znaczenie, gdyż dotyczyła ona podróży Jezusa do śmierci na krzyżu, chociaż wplecione w liturgię niebiblijne epizody zaczęły odbierać mi autentyczne zainteresowanie znaczeniem i chęć głębszego poznania istoty krzyża. Wkrótce, uczęszczanie na nie stało się dla mnie ciężarem, tak jak później było nim ich odprawianie. Tak naprawdę doszło do tego, że znienawidziłem oddawanie czci Bogu z powodu tych wszystkich rzeczy!

Patrząc na swoje życie z obecnej perspektywy widzę, że cały czas toczyłem bitwę z niebiblijnymi doktrynami i praktykami kościoła katolickiego. Gdyby wówczas dotarło do mnie Słowo porzuciłbym go natychmiast. Jednak będąc katolikiem z „krwi i kości” słuchanie Słowa nie było mi znane. To tak, jakby Bóg przez całe moje dzieciństwo i lata młodości wyciągał do mnie rękę, której nie mogłem dostrzec przez gęstą mgłę dymnej zasłony katolickiej indoktrynacji, jaką wdychałem.

Szkolenie

Biskup z Plymouth zakwalifikował mnie jako nadającego się do służby kandydata do seminarium duchownego w roku 1980. U bram Seminarium Św. Jana stanąłem na początku września 1980 roku. Jestem przekonany, że Bóg nie miał dla mnie żadnych planów rozpoczęcia szkolenia w wieku 18 lat i dwóch tygodni. Mimo że byłem jeszcze chłopcem, Kościół katolicki przyjął mnie! Początkowe doświadczenia były okropne. Poza innym osiemnasto- latkiem z Plymouth, równie niedojrzałym jak ja, nie znałem nikogo. Dopiero po trzech dniach odnalazłem kaplicę, jako że nikt nie był łaskaw mi o niej powiedzieć. Z drugiej strony, o bibliotece, i tym, jak ważna ona jest, wbito nam dobrze do głowy już na samym początku!

Stałym doświadczeniem, jakie wyniosłem z Seminarium była edukacja, egzaminy i zbieranie informacji. Tak naprawdę nigdy nie zachęcano nas do pielęgnacji życia duchowego, co dobrze podsumował jeden z kolegów w momencie, gdy skreślano z listy jednego z najsłabszych studentów: „w porównaniu z nim, moja wiara nie zmieściłaby się na znaczku pocztowym.” Wyglądało na to, że liczyły się tylko wyniki i pokazanie swoim zachowaniem, że „pasuje się” na księdza. Dzięki temu,

że przez parę lat udzielałem się w zakrystii, uzyskałem dodatkowe punkty, przez co zostałem uznany za godnego odpowiedzialności za zakrystię. To ważne zadanie polegało na przygotowywaniu szat i przedmiotów liturgicznych do różnych obrządków i ceremonii, które jak utrzymuje kościół, są niezbędne. Wyglądało na to, że słowa apostoła Jakuba odwrócono mówiąc: „nie obchodzi nas jego wiara, ale to, czyjego [studenta] uczynki pokazują, że nadaje się!”

Nigdy nie pytano nas o nasze przekonania ani o to, czy potrafimy cokolwiek obronić przy pomocy Pisma św. Kiedy w czasie wykładów przekazywano informacje, było to na zasadzie prezentacji nauczania kościoła katolickiego. Jeśli nie zgadzaliśmy się z nim, mogliśmy po prostu wyjść. Nie było miejsca na jakąkolwiek debatę. Podobnie nikt nie zachęcał nas do otwierania Pisma w kaplicy w czasie, gdy słuchaliśmy kazania. Wykłady biblijne opierały się o szereg teorii, które dzielą Pismo święte według różnego autorstwa i czasu powstawania. Często w wykładach powoływano się na prace Bułtmana, demitologizującego teologa, który odrzuca boskie działanie w opisywanych w Nowym Testamencie cudownych wydarzeniach. O tym, że Pismo święte w zasadzie może mieć rację, nie mówiąc już o nieomylnym objawieniu Bożym, w ogóle nie wspomniano. Na dobrą sprawę, następujących słów apostoła Pawła do Tymoteusza mogłoby nie być: „Wszystko Pismo od Boga jest natchnione i pożyteczne ku nauce, ku strofowaniu, ku naprawie, ku ćwiczeniu, które jest w sprawiedliwości; Aby człowiek Boży był doskonały, ku wszelkiej sprawie dobrej dostatecznie wyćwiczony” (II Tymoteusza 3,16-17).

Tak więc nie udało się mi zbliżyć do Boga w czasie studiów w seminarium, i prawdę powiedziawszy, po upływie paru lat przestałem się nawet starać. Zamiast być okazją do zapoznania się z mocą Słowa Bożego, stanowiły raczej przeszkodę do pokonania na drodze do „prawdziwej pracy” w służbie na parafii. Nie zostałem wykształcony na duszpasterza, pastora, czy nawet kaznodzieję, lecz raczej na „wykonawcę sztuczek” i administratora. W ciągu pierwszych kilku lat nauki było parę okazji, kiedy była możliwość pokierowania nami byśmy podzielili się Ewangelią z innymi. Doskonałą okazją ku temu był Dzień Młodzieży obchodzony w seminarium diecezjalnym w Arundel i Brighton. Zamiast jednak być okazją do nauki biblijnych prawd dzień ten zamienił się w pole bitwy, na którym ci ze studentów, którzy mieli obiekcje do „współczesnej” muzyki na

zakończenie mszy oscentacyjnie udali się na balkon organowy, gdzie klęcząc, na głos odmawiali różaniec. Co więcej, po zakończonej mszy, weszli oni ponownie do kaplicy i na czworakach rozglądali się za ewentualnymi okruskami chleba, jaki tym razem został użyty w czasie komunii i - o zgrozo - mógł upaść na podłogę. Czy Bóg jest obecny w takim zachowaniu? Czy jest w tym miłość? Patrząc wstecz, zadaję sobie pytanie, jak bardzo pozbawione znaczenia dla ludzi, którzy rzekomo przygotowywali się do służby Bożej, były słowa apostoła Jana? - „My wiemy, żeśmy przeniesieni z śmierci do żywota, iż miłujemy braci; kto nie miłuje brata, zostaje w śmierci” (I Jana 3,14).

Daleko bardziej przerażającym mnie aspektem jest utrzymujące się nastawienie do nauki Kościoła katolickiego. Na przykład, kiedy uczono nas o Eucharystii i niebiblijnej teorii przeistoczenia, posługiwaliśmy się filozofią a nie Pismem św. (mimo to, większość studentów mojego roku nie była w stanie pojąć, czego nas „uczono”). Nie zdawano sobie sprawy, że filozofia, to myślenie na sposób ludzki a nie Boży; nie kontaktowano się ze Słowem Bożym mimo że Bóg mówi wyraźnie: „Boć zaiste myśli moje nie są jako myśli wasze, ani drogi wasze jako drogi moje, mówi Pan” (Izajasza 55,8).

W czasie pięciu lat studiów w seminarium praktykowaliśmy spowiedź na ochotnikach, natomiast ani razu nie praktykowaliśmy wygłaszania kazań! Ani razu nie próbowaliśmy znaleźć usprawiedliwienia czemu mamy wmawiać ludziom, że nie mogą sami zwracać się do Boga, i to, że tylko dzięki naszemu pośrednictwu Bóg ma moc odpuszczać grzechy. Nadużywając słów Jana 20,23 uczyniliśmy z nich barierę między Bogiem a człowiekiem. Tak jakby zabrakło słów apostoła Pawła do Rzymian: „Bo iż umarł, grzechowi raz umarł, a iż żyje, żyje Bogu. Tak też i wy rozumieście, żeście wy umarłymi grzechowi, aleście żywymi Bogu w Chrystusie Jezusie, Panu naszym” (Rzymian 6,10-11). „Który by nie potrzebował na każdy dzień, jako oni najwyżsi kapłani, pierwaj za swoje grzechy własne ofiar sprawować, a potem za ludzkie; bo to uczynił raz samego siebie ofiarowawszy” (Hebrajczyków 7,27). - To słowa, które równie dobrze mogły by nie istnieć, bowiem nie Pismo, lecz nauki i prawa Kościoła katolickiego całkowicie przykuwały naszą uwagę i tylko one liczyły się.

Niebiblijne nastawienie to charakteryzowało również nasze relacje z innymi chrześcijanami, z jakimi spotykaliśmy się. Kiedy zmarła nasza instruktorka od emisji głosu - urocza starsza pani, niektórzy spośród studentów udali się na jej pogrzeb. Po powrocie z pogrzebu zamiast dać wyraz radości w Panu i Jego obietnic, z ust ich słychać było tylko narzekania na to jak nisko upadł kościół, bo zabrakło świec. Zwiastowane Słowo nie dotarło do nich a jedyne co zaobserwowali, to brak poprawnie spełnionych uczynków. Jedna katoliczka przyszła powiedzieć jak to jest być żoną anglikańskiego wikariusza. W odpowiedzi i komentarzu do jej wypowiedzi zamiast poruszyć trudności doktrynalne z jakimi muszą się oboje borykać, zmyto jej głowę za to, że zamiast jako dobra katoliczka uczęszczać każdej niedzieli do kościoła katolickiego, co drugą niedzielę chodzi do kościoła męża.

Bliski byłem dostrzec kościół katolicki takim, jakim jest - świecką organizacją ze świeckimi celami ukrytymi pod pozorem religijności, w momencie, gdy jeden ze studentów nagle opuścił nas. Był on już ordynowanym diakonem, gdy nagle - dzięki Bogu zaczął kwestionować doktrynę o przeistoczeniu.¹ Odnalazł on wszystkie istotne fragmenty Pisma i przekonał się, że Biblia nie potwierdza tego, czego był uczony przez katolickich wykładowców. Nic dziwnego, że został wyrzucony z seminarium w przeciągu dwóch dni, najprawdopodobniej, aby zapobiec przed rozszerzeniem się infekcji podwójnego zła, jakim jest Pismo i Duch Święty. Niektórzy studenci okazywali jednak typową katolicką reakcję powtarzając zmyślane, skandaliczne historie o studencie, nie wspominając nic o sposobie, w jaki został potraktowany! Jeśli chodzi o mnie, to miałem pragnienie porozmawiać z nim, ale niestety nie zdążyłem. Współczułem mu i rozumiałem go, ponieważ sam też nie przyjąłem nauki o przeistoczeniu. Mam nadzieję i modlę się, aby śmiały i odważny ów młody człowiek był w stanie usłużyć innym Słowem Bożym, tak jak sam je znalazł. Wydarzenie to oraz godność z jaką zachował się ów student wybiło się ponad katolicki styl życia i niemal skruszyło więzy jakie mnie wówczas wiązały z kościołem. Jednak, gdy piszę te słowa, robię to z bólem w sercu, gdyż wtedy jeszcze nie dostrzegałem prawdy, Słowa proroka Izajasza powtórzone przez Jezusa dotyczyły również i mnie: „Lud ten przybliży się do mnie usty swymi, i wargami czci mię; ale

¹ Błędna i niebiblijna doktryna rzymskokatolicka, oparta na filozofii Arystotelesa uczy, że chleb i wino podczas komunii przeistaczają się w ciało i krew Chrystusa.

serce ich daleko jest ode mnie. Lecz próżno mię czczą, nauczając nauk, które są przykazania ludzkie” (Mateusza 15,8-9). Niestety są one nadal prawdziwe dla tych wszystkich, którzy zwodzeni są na manowce sztuczkami Rzymu. Nie jest to oczywiście potępieniem zwiedzionych ludzi, lecz potępieniem rzymskokatolickiej organizacji, która z pełną premedytacją kontynuuje swoje błędne i niebiblijne nauki.

Służba

Jako diakon służyłem przez jeden rok, po czym, jako kapłan przez blisko siedem lat. W tym czasie służyłem w szeregu parafii w okolicach Dorset i Devon, napotykając wielu dobrych ludzi, podobnie jak ja zwiedzionych narzuconymi im niebiblijnymi doktrynami. Jako diakon spędziłem jeden rok w Paignton, dzielnicy Devon. Jest to nadmorski kurort położony na „Angielskiej Rivierze,” gdzie latem liczba odprawianych mszy znacznie wzrasta z powodu wakacyjusy. Tutaj rozpoczęła się wewnętrzna walka, jaką przyszło mi toczyć przez cały czas mojej służby, chociaż dopiero po opuszczeniu szeregów kościoła katolickiego uzmysłowiłem sobie w pełni, że jej przyczyną była różnica pomiędzy moimi przekonaniami a wymaganiami nałożonymi na mnie jako kapłana.



W czasie służby w Paignton moim podstawowym zadaniem było odprawianie codziennych i niedzielnych mszy oraz domowe wizyty z komunią. Jako diakon “wolno” mi było udzielać chrztu, tak więc zlecono mi udzielanie większości chrztów w niedzielne popołudnia. W pewnym sensie zaczynałem pojmować, że wszystkie te działania mają niewiele wspólnego ze zwiastowaniem Ewangelii. Zaczęło ogarniać mnie poczucie braku spełnienia i praca ta zaczęła wydawać się mi bezcelowa. Pewnego razu wezwano mnie do szkoły parafialnej, aby nauczyć katechizmu i udzielić chrztu dwójce dzieci właśnie co przyjętych do szkoły. Kiedy w końcu stwierdziłem, że nie ma sensu udzielać im chrztu, gdyż nie mają najmniejszego pojęcia o Bogu i nie reagują na moją katechezę, kierowniczka (zakonnica) bardzo rozżłoszczona powiedziała mi, że przyjęto je pod warunkiem, że przyjmą chrzest w kościele katolickim (niekoniecznie jako chrześcijanie!). Nie interesowano się wiarą ani

potrzebą pomocy dzieciom w poznaniu Boga, lecz w wykonywaniu odpowiednich uczynków i zrobieniu z nich rzymskich katolików.

Epizod ten zdezorientował mnie i pchał mnie dalej na drodze wiodącej od Rzymu. W czasie jaki tam spędziłem, doświadczyłem wiele nieprzyjemności od kuratora. Jego nastawienie i zachowanie sprawiało, że czułem się niezręcznie. Pewnego razu upokorzył mnie on publicznie w czasie nabożeństwa. Tak więc nie zdziwiłem się zbytnio, gdy doszła do mnie później wiadomość, że został on skazany za pedofilię, jaką uprawiał on już wtedy. System zarządzania panujący na parafiach nie dawał okazji szukania porady w przypadku doświadczenia problemów, z jakimi spotykałem się. Nie było również żadnego przygotowania, jeśli chodzi o znajomość naszej odpowiedzialności na płaszczyźnie czysto fizycznej za powierzonych naszej opiece dorosłych i dzieci. Gdyby nie były to tylko obawy osobiste, ale również znajomość jego niemoralnego i niechrześcijańskiego prowadzenia się nie wiedziałbym jak się zachować i co z tym począć. Co gorsza, pozbawiony byłem także znajomości Pisma i jego przewodnictwa w postępowaniu jakie należało podjąć. Nawet słowa apostoła Pawła do Tymoteusza mogłyby mi pomóc, gdyby powiedziano nam, że Pismo jest Bożym objawieniem i przewodnikiem. „Wszystko Pismo od Boga jest natchnione i pożyteczne ku nauce, ku strofowaniu, ku naprawie, ku ćwiczeniu, które jest w sprawiedliwości; Aby człowiek Boży był doskonały, ku wszelkiej sprawie dobrej dostatecznie wyćwiczony.” (II Tymoteusza 3,16-17). Zamiast tego, byłem po prostu nagi wobec otaczającego mnie świata, bez wsparcia Bożego ani Jego Słowa, skąd czerpać mógłbym pomoc w trudnych jak ta chwilach. Gdybym choć trochę znał list św. Pawła do Efezjan, miałbym jakąś szansę wykonania dzieła Bożego, lub przynajmniej dostrzeżenia jak powinno ono wyglądać!

„A przetoż weźmijcie zupełną zbroję Bożą, abyście mogli dać odpór w dzień zły, a wszystko wykonawszy, ostać się. Stójcież tedy, przepasawszy biodra wasze prawdą i oblekwszy pancerz sprawiedliwości. I obuwszy nogi w gotowość Ewangelii pokoju. A nade wszystko wzięwszy tarczę wiary, którą byście mogli wszystkie strzały ogniste onego złośnika zagasić. Przyłbicę też zbawienia weźmijcie i miecz Ducha, który jest słowo Boże! W każdej modlitwie i w prośbie modląc się na każdy czas w duchu, i około tego czując ze wszelką ustawiczością i z prośbą za wszystkich świętych” (Efezjan 6,13-18).

Ogólnie mówiąc, doświadczenia te powielają się w pozostałych parafiach, w jakich służyłem. Chociaż spotkałem wielu porządných ludzi według kryteriów ludzkich, żaden z nich nie naprowadził mnie do Pisma świętego, abym w nim szukał zbawienia i wskazówek do tego, jak żyć na tym świecie. Spędziłem trzy lata w Poole w hrabstwie Dorset, zanim natłok wątpliwości i problemów spowodował, że poprosiłem o przeniesienie. Godzinami chodziłem tam i z powrotem wewnątrz kościoła, błagając Boga, by pokazał mi, gdzie znajdują się odpowiedzi na moje zmagania, lecz o dziwo, nie dostałem żadnej odpowiedzi, jako że były one dostępne od dawna w Jego Słowie, gdzie niestety ich nie szukałem. Przeniesiono mnie do katedry w Plymouth, gdzie wycierpiałem wiele od administratora, który wszystko pojmował w kategoriach uczynkowości.

Krytyka i zastraszanie, jakie mi okazywał, sprawiły, że uciekłem na parę tygodni. Jednak, nie znając poza kościołem innego miejsca, gdzie mógłbym uzyskać poradę wróciłem. Na początku schroniłem się w domu wyrozumiętego parafianina, po czym udałem się do ustronnego klasztoru w opactwie Downside na "rekolekcje." Mimo że wszyscy tam byli wyrozumięli, a sam opat nie szczędził czasu i uwagi, jednak nurtujące mnie kwestie nie zostały rozpatrzone z Pismem w rękę, a moje ponowne uczestnictwo w celebracjach rzymskich rytuałów uznane zostało za powrót do duchowego zdrowia. Powrót do katedry i nieodłącznej krytyki oraz zastraszania jedynie wzmocnił moje postanowienia, ale nie moją znajomość prawdy.

Niezbyt długo po moim powrocie, administrator wpędził się w problemy zdrowotne swoim wymagającym nastawieniem i został przeniesiony do Cornwall. Zostałem jako jedyny aktywny kapłan w katedrze obarczony funkcją administrowania. Jedną z pierwszych samodzielnych decyzji, jakie podjąłem, dobrze oddaje nieświadome myśli, jakie przychodziły mi na umysł odnośnie kościoła rzymskokatolickiego i jego doktryn. W środy na pierwszej mszy o godzinie 6 rano przychodziły tylko dwie osoby, z których jedna pojawiała się również na późniejszej mszy. Poinformowałem zatem moich dwóch kolegów, że zostaje ona "skasowana" (w przeciwieństwie do rzymskokatolickiej doktryny i nastawieniu nigdy nie uważałem, że im więcej „odprawia” się różnych rzeczy tym lepiej). Nie spodobało się to żadnemu z nich, dopóki nie zapytałem, który z nich będzie ją zatem odprawiał, jako że sam, nie

miałem na to najmniejszej ochoty. Dość powiedzieć, że żaden z nich nie zaoferował się! Dzięki temu ograniczyliśmy do pięciu ilość codziennych mszy odprawianych w katedrze. Jaka szkoda, że nie trafiłem wówczas na list do Hebrajczyków rozdział 10 wersety 11-14. Z pewnością pomogłyby mi połapać się w chaosie w jakim znajdowałem się i wskazać na błędy leżące u podstaw nauki Kościoła Rzymskokatolickiego.

„A wszelki kapłan stoi na każdy dzień, służbę Bożą odprawując, a jednakże ofiary częstokroć ofiarując, które nigdy grzechów zgładzić nie mogą. Lecz ten jedną ofiarę ofiarowawszy za grzechy, na wieki siedzi na prawicy Bożej, Na koniec oczekując, ażby położeni byli nieprzyjaciele jego podnóżkiem nóg jego. Albowiem jedną ofiarą doskonałymi uczynił na wieki tych, którzy bywają poświęceni. A świadczy nam to i sam Duch Święty; albowiem powiedziałwszy pierwej.”

Nie powinno dziwić, że jeszcze na studiach starano się pomniejszać znaczenie listu do Hebrajczyków wskazując na jego niepewne autorstwo. Nic dziwnego! Najlepszy sposób, aby ukryć przed ludźmi prawdę, to wystraszyć ich przed nią. Jak na ironię, fragment ten przeznaczony jest do czytania w kościele w 33 niedzielę roku (B). W rzymskim kalendarzu nie ma zbyt wielu 33 niedziel, a nawet, jeśli zostałyby on odczytany, to i tak prawda w nim zawarta pozostałaby zignorowana lub nie dostrzeżona. Bóg jednak sprawił, że znalazł on się tam z nadzieją, że być może, odkryje go ktoś, przestudiuje i wygłosi kazanie na jego podstawie.

Nadchodzi rozstanie

Z katedry zostałem przeniesiony do małej parafii na obrzeżach Plymouth. Początkowo frekwencja była niewielka, mimo że okolica była gęsto zaludniona. To tutaj, w parafii św. Tomasza Morę jako parafialny ksiądz po raz pierwszy byłem w stanie zacząć myśleć i działać w zgodzie z moim sumieniem, choć Pan mego sumienia - Duch Święty był mi jeszcze nieznanym.

W przeciągu trzech krótkich lat spędzony na parafii dokonałem wielu zmian w kościele i obrządkach parafialnych. Przestałem udzielać spowiedzi, chyba że ktoś miał takie życzenie. Łatwo zgadnąć, że nikt nie pukał do drzwi plebanii i domagał się wysłuchania spowiedzi! Samo wnętrze kościoła uległo gruntownej przemianie upodabiając się bardziej

do innych denominacji. Ołtarz został opuszczony ze swojej „wzniosłej” pozycji i uległ uproszczeniu (niestety nadal pozostając ołtarzem a nie stołem). Drewniany pulpit, przytwierdzony na stałe do ściany, został zastąpiony bardziej dominującą mównicą wykonaną z kamienia i umiejscowioną bliżej środka. Bałwochwalczy posąg Maryi (V Mojżeszowa 5,8-10), matki Jezusa stojący na przodzie został usunięty do przedsionka. Tabernakulum zostało usunięte z głównego kościoła i znalazło się w przykościelnej kaplicy. Praktycznie zrezygnowałem z wymaganych szat liturgicznych i sezonowych „zmian kolorów” w zgodzie z obowiązującym kalendarzem liturgicznym.

Jedną z kluczowych zmian jakie wprowadziłem, będąc wprawdzie częścią liturgii rzymskiej, jednak jest w większości parafii na świecie kompletnie ignorowana, dotyczyła Wielkopiątkowej Adoracji Krzyża. Mówię krzyża, bo mimo że i tak jest to praktyka bałwochwalcza, oficjalna liturgia kościoła nie wymaga krucyfiksu, który jednak stosowany jest w przeważającym stopniu. Stąd zastąpiłem krucyfiks zwykłym krzyżem, gdyż nawet wówczas zwyczaj całowania stóp figury krucyfiksu martwił mnie. Wielu ludziom nie podobały się zmiany w obrzędach i wystroju kościoła, co znalazło wyraz w komentarzach i skargach, jakie do mnie docierały. A mimo to, liczba uczestników codziennych mszy wzrastała, co musiało być za sprawą Pańską, gdyż „Albowiem nie śmiałybym mówić tego, czego by nie sprawował Chrystus przez mię...” (Rzymian 15,18).

Ostatnia rzecz, o jakiej chcę wspomnieć z wydarzeń w Plymouth, która najbardziej mnie zaskoczyła i jednocześnie daje mi ogromny dowód wiary na to, że Bóg posługuje się nami w Swojej pracy nawet wtedy, kiedy Go nie znamy. Tak się składa, że po latach odnalazłem swoje notatki, które sporządzałem wówczas przygotowując się do kazań. Mizerne one i chudziutkie i brak w nich pełnego zrozumienia tekstu, a jednak jest w nich widoczne, jak Duch Święty prowadził mnie, abym zwiastował Słowo! „Albowiem Duch Święty nauczy was onejże godziny, co będziecie mówić mieli” (Łukasza 12,12).

Patrząc z obecnej perspektywy rozumiem, dlaczego moja służba w Plymouth nadal była nieustannym zmaganiem się. Mimo wielu owych drobnych sygnałów, które prowadziły mnie w innym kierunku, zupełnie nie rozumiałem problemów, jakie znajdują się u podstaw Kościoła

Rzymskokatolickiego. Przez trzy lata posługi, mimo ' zwiększającej się liczby uczestników i wrażeniu "konywanej przeze mnie „dobrej roboty, "uczucie braku spełnienia się jedynie potęgowało się. Odbierałem wrażenie, że w tym wszystkim, co robię, znajduje się ogromna pustka. Nie potrafiłem dostrzec w kościele rzymskim mocy Bożej, o której mówiłem parafianom. Byłem niczym „pobielany grobowiec," z wszelkimi zewnętrznymi oznakami pobożności, wewnątrz jednak byłem dręczony przez grzech i poczucie winy. Brak mi by10 przekonania w tym, co robiłem, a im więcej robiłem tego, co mi mówiono, tym bardziej rosły moje wątpliwości.

„Biada wam, nauczenni w Piśmie i Faryzeuszowie obłudni! izeście podobni grobom pobielanym, które się zdadzą z wierzchu być cudne, ale wewnątrz pełne są kości umarłych i wszelkiej nieczystości” (Mateusza 23,27).

Zmiana

Tak więc dręczące mnie wątpliwości co do prawdy sprawiły, że podjąłem decyzję opuszczenia Kościoła Rzymskokatolickiego. W rozmowach z parafianami, którzy przychodzili po porady, raz za razem powtarzałem im: „skoro sprawy się tak mają, musisz z tej sytuacji.” W końcu, po jednym szczególnie ciężkim dniu zastosowałem się do rady, jaką udzielałem innym. Mówiono mi, abym wykonywał te wszystkie rzeczy nakazane przez Rzym, co skrupulatnie czyniłem i nadal mam być bez Boga? Jak to może być, skoro wszystko co czyniłem było poprawne? Tak więc zdecydowałem porzucić stan kapłański. Mimo że nie znalazłem Boga, On sam znalazł mnie i już dłużej nie mogłem oprzeć się Jego wezwaniu! „Bo przyszedł Syn człowieczy, aby szukał i zachował, co było zginęło” (Łukasza 19,10).

Jak to z pewnością potwierdzą inni, to wcale nie jest łatwo opuścić kościół rzymskokatolicki. I w moim przypadku nie było inaczej. Zanim poszedłem do biskupa poinformować go o mojej decyzji, postarałem się o co, by towarzyszył mi przyjaźnie do mnie nastawiony kolega ksiądz. I dobrze się stało, ponieważ już na wstępie dowiedziałem się, że postradałem zmysły i trzeba mnie wysłać do specjalnego ośrodka, gdzie „wykolejonych” księży kieruje się z powrotem na „właściwe” tory. Prawdopodobnie gdybym udał się do biskupa sam, dałbym się namówić lub ulec zastraszeniu, lecz dzięki

Bogu nic takiego się nie stało. Opuściłem budynek kościoła pięć dni później i choć napisałem pożegnalny list do parafian, to zastanawiam się, czy został on im odczytany, jako że zachodziła obawa, że może on u nich podobne zachowanie do mojego!

Jedynie co „dostałem” od diecezji, to depozyt na pokój z łóżkiem. Żadnej pomocy, żadnej rady, nie mówiąc nic o słowie podziękowania za siedem lat mojej służby. Przez kolejne 12 miesięcy dryfowałem bez kościoła, bez najmniejszego pojęcia dokąd udać się po prawdę i gdybym się nie „odbił od dna”, pozostałbym bez steru do dzisiaj.

Dostrzegając Boga

Jedyny kontakt ze światem jaki mi został, to klub rugby. Poprzez nierozważną przyjaźń z innym członkiem popadłem w konflikt z prawem. Mimo oczywistych nieprzyjemności całego zdarzenia jedna rzecz powtarzała się raz za razem, co sprawiło, że zacząłem szukać Bożej prawdy. Pierwszym adwokatem z urzędu okazał się być wierzący chrześcijanin, który się z cym nie krył. obrońcą na sprawie okazał się być również chrześcijanin. Psycholog, który potwierdził przed sądem moje zdezorientowanie i depresję był także wierzącym chrześcijaninem. Miejscowy sędzia, który ogłosił wyrok, także był chrześcijaninem. Wszyscy oni rozumieli i wspierali mnie w tarapatkach, w jakich się znalazłem. Ja z kolei chciałem dowiedzieć się więcej nie tylko dlaczego mieli oni takie nastawienie do mnie, ale również. dlaczego Bóg postawił ich na mojej drodze. Stąd zacząłem uczęszczać do różnych okolicznych kościołów, starając się więcej zrozumieć. „I jać wam powiadam: Proście, a będzie wam dano; szukajcie, a znajdziecie; kołaczcie, a będzie wam otworzono” (Łukasza 11,9).

Pierwszych kilka kościołów dokąd udałem się niewiele pomogło; czegoś tam brakowało. Mimo że były one nominalnie ewangelicznymi, to, co tam usłyszałem, nie było odpowiedzią na moje pytania. Dopiero po rozmowie z kimś, kogo spotkałem na drugim roku studiów uniwersyteckich (rozpoczętych 5 miesięcy po opuszczeniu KK) zacząłem uczęszczać do kościoła św. Andrzeja w centrum Plymouth. Mimo tego, że oficjalnie jest on częścią Kościoła Anglikańskiego, są oni członkami grupy „reformowanej”, oddanymi sprawie ewangelii. Proste nabożeństwo i przejrzyste przesłanie z Pisma przykuło moją uwagę i zacząłem

uczęszczać regularnie. Uczęszczałem również i do innego reformowanego kościoła w Exeter, św. Leonarda, gdzie podobne kazania z Pisma znalazły u mnie oddźwięk.

Jednak mimo że znalazłem „odповідź” w Piśmie, nie znalazłem jeszcze mojej drogi do Chrystusa. Do tego doszło przy dwóch różnych okazjach, niezbyt odległych od siebie, lecz w zupełnie odmiennych okolicznościach.

Pierwsza z nich miała miejsce w roku 1995 podczas spaceru z Gerardiną, którą poznałem podczas zajęć na uczelni, i która obecnie jest moją żoną. W czasie spaceru w okolicach Dartmoor rozmawialiśmy na tematy związane z wiarą. Tak się składa, że do rozmowy doszło po tym, jak zwróciłem uwagę na symbol ryby naklejony z tyłu jej samochodu, co stało się okazją do coraz głębszych rozmów na różne tematy. Był to jeden z wielu spacerów, na jakie chodziliśmy przed i po ślubie w 1996 roku. W czasie tego spaceru rozpocząłem grę „w prawdę.” Jeśli dobrze pamiętam, pochodzi ona z filmu pt „Truły, Madly, Deeply.” Zacząłem opowiadać o sprawach, które nieustannie nurtowały mnie jako księdza w kościele katolickim, szczególnie doktryny o Eucharystii, dousznej spowiedzi, celibacie i wielu innych sprawach. Podczas tych rozmów miałem po raz pierwszy okazję nie tylko mówić o nich, lecz również odrzucić te niebiblijne i błędne doktryny, a wraz z nimi fałszywe psychologiczne poczucie bezpieczeństwa, jakie mogą one wytwarzać. Pamiętam poczucie ulgi, gdy opierając się na Piśmie, oddalałem jedną za drugą MYkazując ich ludzką argumentację, na jakiej się opierają. Pamiętam jak po raz pierwszy w pełni pojąłem, jakim bałwochwalstwem jest Adoracja Sakramentu, różaniec i cała mariologiczna teologia Rzymu. Tego popołudnia po raz pierwszy doszło do mnie z całą wyrazistością, że ludzkie argumenty i idee nie mają najmniejszego użytku w znalezieniu Boga i zbawienia. „Niemasz mądrości, ani rozumu, ani rady przeciwko Panu” (Przypowieści Salomona 21,30). Błogosławione niech będzie imię Pańskie za Jego mądrość prowadzącą mnie do zbawienia.

Wiem także, że wówczas jeszcze nie rozumiałem, gdzie znajduje się cała prawda, choć znajomość jej i inspiracja nie były już tak odległe. Byłem już wolny od Rzymu na sposób jakiego jeszcze nie doświadczyłem, wolny od zależności od niebiblijnych i bezbożnych wymagań, jakie narzuca Rzym swoim wiernym.

Dzień rozpoznania

Niedługo po tym, udaliśmy się z Gerardiną w odwiedzinach do jej brata, anglikańsko-ewangelicznego pastora. W niedzielę dobiegał właśnie końca świąteczny program dla dzieci z parafii. Jego podsumowanie miało MYbitnie ewangelizacyjny charakter skierowany na rodziców, którzy wprowadzając swoje dzieci, sami prawdopodobnie nie byli ludźmi wierzącymi. Mówca kładł nacisk na to, jak bardzo każdy z nas potrzebuje Jezusa Chrystusa w naszym życiu oraz jego zbawczego dzieła na krzyżu. Nie pamiętam dokładnie słów jakich używał, lecz na końcu skierował zaproszenie do tych, którzy pragną oddać się Jezusowi, aby przyłączyli się w cichej modlitwie odzegnując się od swego grzesznego życia i powierzyli je Jezusowi Chrystusowi, w którym wyłącznie możemy znaleźć zbawienie. Przyłączyłem się do tej modlitwy, przyciągnięty czymś nie do odparcia. Choć nie wydarzyło się nic magicznego, ani towarzyszyły temu wielkie emocje, wiedziałem, że życie moje zmieniło się.

Następnego tygodnia udaliśmy się do Kościoła w Exeter. Gdy rozpoczęto śpiew pieśni, zostałem obezwładniony świadomością tego, co niedawno stało się ze mną i realnością mego zbawienia. Słowa pieśni przemawiały bezpośrednio do mnie.

Miłości czysta, bielsza niż śnieg,
Tyznasz, ty płaczesz za każdy mój grzech;
Miłość odwieczna płaci mój dług.
Jezu, miłości ma.
...miłości to strumień życia mój,
Jezu, miłości ma.

Zrozumiałem, że grzechy moje zostały wybaczone dzięki Jego śmierci na krzyżu. Zrozumiałem nareszcie, że przez wszystkie te lata, gdy mówiono mi w kościele rzymskokatolickim, że muszę zasłużyć na "baczenie poprzez uczynki i moje własne dzieła oraz tak zwane sakramenty Kościoła rzymskokatolickiego, żyłem w jednym wielkim złudzeniu.

„Wiedząc, iż nie bywa usprawiedliwiony człowiek z uczynków zakonu, ale przez wiarę w Jezusa Chrystusa, i myśmy w Jezusa Chrystusa uwierzyli, abyśmy byli usprawiedliwieni z wiary Chrystusowej, a nie z uczynków zakonu, przeto że nie będzie usprawiedliwione z uczynków zakonu żadne ciało” (Galacjan 2, 16).

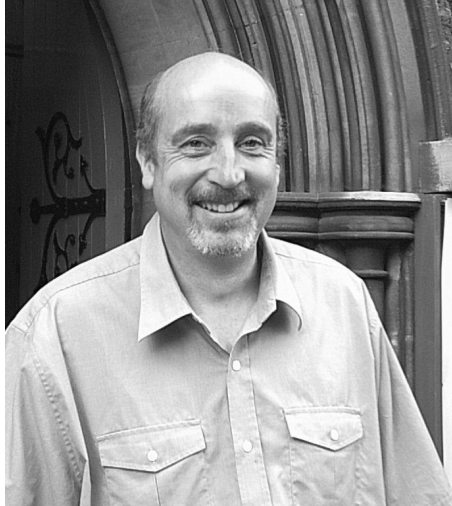
Prze wiele tygodni po tym, lzy radości i ulgi towarzyszyły mi w czasie nabożeństwa, gdy w końcu dane mi było usłyszeć i zrozumieć słowa Jezusa: „Rzekł mu Jezus: Jamci jest ta droga, i prawda, i żywot; żaden nie przychodzi do Ojca, tylko przez mię” (Jana 14,6).

Serdeczny apel

Jestem obecnie sługą ewangelii w zborze Wolnych Chrześcijan w Anglii (Free Churches of England), małej, reformowanej, i co najważniejsze ewangelicznej denominacji. Głoszę i nauczam Ewangelię, jako jedyne źródło wiary i praktyki chrześcijańskiej. Usiłuję dopomagać innym zrozumieć, że jedynie dzięki Bożej łasce możemy być zbawieni. (Efezjan 2,8) gdyż dzięki Jego łasce jesteśmy oczyszczeni krwią Baranka, Jezusa Chrystusa. Dostałem wielkiego błogosławieństwa od Pana; wiem, że Jezus Chrystus jest moim Zbawicielem, odwróciłem się od moich grzechów i spocząłem na Jego miłosierdziu. Dla tych, którzy czytają te słowa i nie zostali jeszcze doprowadzeni przez Bożą łaskę do tego przekonania i nadal pozostają uwikłani w kościele rzymskim, zechciejcie zastanowić się i modlić się nad następującym fragmentem Pisma. Rzym bowiem oddziela was od miłości Chrystusowej.

„Któż nas odłączy od miłości Chrystusowej? czyli utrapienie? czyli ucisk? czyli prześladowanie? czyli głód? czyli nagość? czyli niebezpieczeństwo? czyli miecz? Jako napisano: Dla ciebie cały dzień zabijani bywamy, poczytaniśmy jako owce na rzeź naznaczone; Ale w tem wszystkim przewyciężamy przez tego, który nas umiłował. Albowiem pewienem tego, iż ani śmierć, ani żywot, ani Aniołowie, ani księstwa, ani mocarstwa, ani terazniejsze ani przyszłe rzeczy, Ani wysokość, ani głębokość, ani żadne insze stworzenie nie będzie nas mogło odłączyć od miłości Bożej, która jest w Jezusie Chrystusie, Panu naszym” (Rzymian 8,35-39).

Dominic Stockford, nawrócony ksiądz



Dominic Stockford jest obecnie pastorem kościoła Christ Church w Teddington, w południowo-zachodnim Londynie, wspólnoty, która stara się trzymać się prawdy Pisma Świętego. Dominic utrzymuje kontakty w Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych z wieloma innymi osobami, które podobnie jak on podjęły dobry bój wiary przeciwko rytualizmowi i ruchowi ekumenicznemu. Jest przewodniczącym „Protestant Truth Society” w Londynie.

Dominic i jego żona mają dwie córki i cieszą się z całej dobroci, jaką okazał im Bóg.

W sierpniu 2018 roku kontaktowaliśmy się z Dominicem telefonicznie i mailowo.

Przetłumaczono z DeepL.com (wersja darmowa) (Przekład całego świadectwa: Aleksandra Czwojdrak i Meciej Wierszyłowski. Opublikowane w książce „Daleko od Rzymu...” (Bennett/Buckingham), Warszawa 2004. Tekst w załączniku został przetłumaczony z języka niemieckiego za pomocą DeepL.com (wersja darmowa).

Wykorzystano polskie tłumaczenie Biblii zatytułowane „Biblia Gdańska (1881)”.